

ANNA
KANTOCH

Łaska

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Anna Kańtoch

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2024

CZĘŚĆ I

Wojtek

październik 1955 roku

Jan Peczek schylił się i wywiczonym ruchem ściął podgrzybka u nasady, prawdopodobnie jednego z ostatnich w tym roku. Otrzepał go z sosnowych igieł, obejrzał – nóżka była robaczywa, ale kapelusz wydawał się w porządku. Grzyb wylądował w koszu, a mężczyzna wyprostował się z cichym stęknieniem. Wokół panowała cisza, słychać było jedynie szelest kropel osypujących się z rozłożystych koron buków i szmer niedalekiego strumienia. Nad ziemią snuły się strzępy porannej mgły. Jan odetchnął głęboko, wciągając w płuca zapach wilgotnej po deszczu ziemi, który przepędził resztki alkoholowego oszołomienia. Wczoraj ostro z kolegami popił i jeszcze godzinę temu przeklinał ślubną, która bladym świtem ściągnęła z niego pierzynę i przypomniała, że obiecał wybrać się na grzyby. Lecz teraz złość gdzieś się ulotniła i Jan mimo niewyspania i kaca był zadowolony, że zdecydował się wstać. Lubił las, zwłaszcza wczesnym rankiem, nim pojawią się tu tłumy niedzielnych zbieraczy. A kosz był prawie pełny – starczy dziś do jajecznicy i na jutrzejszą zupę, resztę się zamarynuje na zimę.

Tak, Jan byłby całkiem szczęśliwym człowiekiem, gdyby tylko tak bardzo go nie suszyło.

Wydeptaną przez sarny ścieżką ruszył w stronę strumienia, położył kosz na brzegu, po czym klęknął i nabrał w dłonie lodowato zimnej wody. Smakowała ziemią i czymś jeszcze – gnijącym drewnem albo rosnącym na kamieniach mchem. Wstając, poczuł, jak w kręgosłupie coś przeskakuje – cóż, czterdziestka to nie młodzieńczy wiek. Pora sprawdzić miejsce przy zwalonym dębie, gdzie rosła kolonia opieńek, i można wracać do domu.

Właśnie wtedy, gdy powoli się prostował, zauważył to stworzenie.

Tak pomyślał w pierwszej chwili: nie człowiek, tylko stworzenie, może dzik albo duży pies. Serce skoczyło mu do gardła, ale zaraz się uspokoił. Znał las jak własną kieszeń, kłusował tu jeszcze przed wojną, za niemieckiego dziedzica, a kiedy nastąpiła polska władza ludowa, nadal zastawiał sidła na nieostrożne zające i kradł zimą drewno. Potrafił wyczuć niebezpieczeństwo, jeśli się na nie natknął.

To coś po drugiej stronie strumienia było dziwne, w pewien sposób niepokojące, ale niegroźne.

Wyprostował się ostrożnie na pełną wysokość – stworzenie nie poruszyło się, błysnęło tylko oczami, zaskakująco ludzkimi i bardzo jasnymi na tle ciemnej twarzy. Bo Jan patrzył na dziecko, może sześciolletnią dziewczynkę z pozlepianymi w strąki lokami, ubraną w wystrzępioną sukienkę i bardzo brudną. Gdyby stanęła nieco dalej, na tle kępy dzikich porzeczek, można by ją pomylić z krzakiem, tyle gałęzi tkwiło w jej włosach. Jan zaklął w myślach, a potem dla równowagi wezwał na pomoc Matkę Boską Częstochowską.

Jeśli miał rację, to wiedział, kim ta mała jest.

Dziewczynka znowu zamrugnęła, błękit tęczyówek zajaśniał na tle wysmarowanej czymś – błotem? – skóry. Wyglądało to niesaa-

mowicie, bo stała zupełnie nieruchomo jak gliniana kukła i tylko oczy w jej twarzy były żywe. Mrug, mrug.

– Maryśka? – Jan odchrząknął. Jego własny głos zabrzmiał w ciszy lasu dziwnie obco. – Chodź do mnie.

Ruszył po kamieniach na drugą stronę strumienia. Poślizgnął się oczywiście i lewa stopa z pluskiem wylądowała w wodzie. Zaklął, tym razem głośno, po czym wyskoczył na brzeg, niemal przekonany, że spłoszone dziecko zdążyło uciec, lecz nie, Marysia wciąż tkwiła w miejscu. Wyciągnął do niej ręce, starając się mówić łagodnie, jakby uspokajał zdenerwowanego konia. Nie miał doświadczenia w postępowaniu z małymi dziewczynkami – sam wychował trójkę chłopaków – ale ostatecznie sześciolatek to tylko sześciolatek, niezależnie od płci.

– Gdzieś ty była? Chodź, odprowadzę cię do domu. – Zmarszczył brwi, widząc zaschniętą skorupę pokrywającą włosy, skórę i sukienkę Marysi. – W błocie się kąpałaś?

Śmierdziała, aż cofnęła się pół kroku. I nie była to zwyczajna woń niemytego od wielu dni ciała, tylko coś, co przywodziło na myśl koryto do parzenia świń, które mieszkająca na wsi matka Jana wyciągała w grudniu ze stodoły. Poślinił palec i potarł policzek dziewczynki. Dziecko spoglądało obojętnie, jakby jego umysł przebywał daleko stąd.

Kwik zarzynanych wieprzków i żelazisty odór juchy spływającej do cebrzyka – to było właśnie to. Zapach krwi, choć nie tej świeżej, gorącej, ale tej, która gniła potem w szparach pomiędzy deskami, dopóki matka Jana nie wzięła ryżowej szczotki i porządnie nie wyszorowała naczynia. Zapach rozkładu i śmierci.

Dziecko od bosych stóp aż po czubek głowy pokryte było zaschniętą krwią.

styczeń 1985 roku

1

Budzik zadzwonił o siódmej, gdy Maria Lenarczyk tkwiła pomiędzy jawą a snem w nerwowym oczekiwaniu na terkotliwy dźwięk, którego tak bardzo nienawidziła. Kiedy budzik się odezwał, niemal odczuła ulgę. Wyciągnęła rękę i wyłączyła go, a potem leżała przez chwilę z otwartymi oczami w szarym świetle styczniowego poranka. Znużenie krążyło w niej ospale, głowę miała ciężką, jakby ktoś wbił jej w czoło żelazny klin, który blokował swobodny przepływ myśli. Chciała zwinąć się pod kołdrą i spać aż do wiosny. Przez moment kusilo ją, żeby zadzwonić do szkoły, powiedzieć, że nagle zachorowała i ktoś musi wziąć za nią zastępstwo. Wiedziała jednak, że nie może nadużywać tej wymówki – dyrektorka już krzywo na nią patrzyła. A nadejdą jeszcze gorsze dni, takie, kiedy naprawdę nie będzie w stanie podnieść się z łóżka.

Zmusiła się, by usiąść i spuścić na lodowatą podłogę bosc stopy. W głowie jej się zakręciło – nie miała pojęcia, czy to dlatego, że ostatnio mało jadła, czy może cały jej organizm zaczynał się sypać jak przerdzewiały silnik. Włożyła kapcie i objając się

o meble, poczłapała do łazienki, gdzie na pralce leżały przygotowane rzeczy: na górze bielizna, pod nią prosta spódnica, sweter i rajstopy. Dzięki temu nie musiała wykonywać zbędnych ruchów. Wystarczyło odkręcić kran, ochłapać twarz wodą, umyć się pod pachami i między nogami, a potem się ubrać, zużywając jak najmniej energii. Wszystko, co wymagałoby większego wysiłku, chwilowo było poza jej zasięgiem. Fryzurę miała krótką, męską – wystarczyło przejechać po włosach grzebieniem, malowała się bardzo rzadko. Koleżanki z pracy uważały, że taki ma styl, ale Maria czasem zadawała sobie pytanie, ile jest w nim jej własnego wyboru, a ile podporządkowania tym ciemnym, zimnym porankom, kiedy życie stawało się tak bardzo nieznośne. Jeszcze nigdy nie zdobyła się na odwagę, żeby na to pytanie odpowiedzieć.

Ubrana powędrowała do kuchni, gdzie przywitał ją zastępyły w kurzu chłód rzadko używanego pomieszczenia. Nie miała czasu, żeby rozpalić w piecu, odkręciła tylko gaz w czterech palnikach kuchenki, żeby choć trochę się ogrzać. Na jednym zagotowała mleko, które wypila, przegryzając wczorajszą bułką. W żołądku czuła pustkę, była głodna, a mimo to nawet żucie wymagało nieproporcjonalnie wielkiego wysiłku, jakby wszystko w niej się zamykało, zapadało w letarg. Ostatecznie odłożyła niedojedzone pieczywo i zrobiła sobie kawę, mocną, z czterema łyżeczkami cukru. Zimą Maria funkcjonowała prawie wyłącznie na cukrze.

Siedziała skulona na krześle, grzejąc dłonie o malowany w maki kubek, z którego piła jako dziecko. Dziwnie było po latach wrócić do domu, w którym się wychowała. Wszystko tu było z jednej strony znajome, bo na każdym kroku potykała się o wspomnienia z dzieciństwa, a z drugiej obce. W szafie wygospodarowała jedną półkę na swoje ubrania, na pozostałych wciąż

leżały rzeczy ciotki: pachnące kulkami na mole zakopiańskie swetry z owczej wełny, pożółkłe pasy do pończoch i futrzane kołnierze spoglądające szklanymi oczami zastrzelonych lisów czy kun. W łazience znajdowała plastry na odciski, ostro pachnące maści, przeterminowane syropy i lekarstwa na różne starcze dolegliwości, w kuchni pełno było poobijanych talerzy i filiżanek z serwisów, które najlepsze czasy dawno miały za sobą. Powinna to wszystko wyrzucić, może wtedy poczułaby ulgę, a dom stałby się naprawdę jej. Ale oczywiście nie mogła tego zrobić – ciotka wciąż żyła, choć szanse, że kiedykolwiek uda jej się opuścić szpital, były bliskie zera.

Maria włożyła pusty kubek do zlewu, gdzie piętrzył się stos naczyń z wczorajszego dnia. Obiecała sobie, że pozmywa po powrocie z pracy. Mnóstwo rzeczy odkładała teraz na później.

Wyszła, upewniając się trzy razy, że zamknęła za sobą drzwi. Na zewnątrz panował wilgotny chłód, który bez trudu przeniknął przez płaszcz. Niebo zaciągnięte było chmurami, pod stopami na kałużach pękała warstwa lodu. O tej porze trzymał jeszcze nocny mróz, ale po południu pewnie zrobi się plucha. Maria skuliła się, idąc do furtki. Jak wczoraj i przedwczoraj czekał pod nią na wpół dziki kot, któremu parę dni temu z litości dała trochę zupy. Miał czarne futro, zaropiałe oczy i zwisające w strzępach ucho.

– Wracaj do lasu – mruknęła. – Jak przyjdiesz po obiedzie, to może coś dostaniesz.

Narastała w niej złość. Nie dobry, płonący w żyłach gniew, który czasem pozwalał zrobić coś pozytywnego, ale tępa, pełna zniechęcenia irytacja. Na ciepłą woń obory dolatującą od strony domu Chojniaków, nowe buty z imitacji skóry, które już zaczynały przeciekać, i spóźniający się autobus – jedyny, jaki miała do dyspozycji, bo choć osiedle Jelonki, gdzie mieszkała, teoretycznie

leżało jeszcze w granicach Mgielnicy, tak naprawdę pod wieloma względami przypominało wieś.

Dwie pierwsze lekcje przetrwała dzięki kawie i wieloletniemu doświadczeniu, które pozwalało jej opowiadać o zawiłościach gramatyki czy poezji barokowej niemal bez zastanawiania się nad tym, co właściwie mówi. Potem jednak zmęczenie zaczęło brać górę i trzecia godzina wlokła się niemiłosiernie, a Maria miała wrażenie, że lada moment straci nad sobą kontrolę i zrobi coś, czego będzie później żałować. Powie jakieś głupstwo, może wytarga za uszy któreś z dzieci albo w inny sposób zdradzi, że nie jest tą zawsze opanowaną panią od polskiego, za którą ją uważano.

Długą przerwę spędziła w pokoju nauczycielskim, pijąc kolejną kawę z jeszcze większą ilością cukru i słuchając rozmów jednym uchem. Wreszcie jej milkliwość zwróciła uwagę Stasi Mederskiej, szczupłej blondynki po trzydziestce, która uwielbiała plotki.

– Maria chyba dziś nie w humorze, co? – Jasnowłosa nauczycielka chemii śmiała się, ale w mocno umalowanych oczach widać było lekką pretensję. Przyzwyczała się do bycia w centrum uwagi i źle znosiła, gdy ktoś ją ignorował.

– Chyba łapie mnie grypa – broniła się Maria, za późno przypominając sobie, że już używała tego wykrętu.

Parę osób spojrzało na nią dziwnie, albo przynajmniej tak jej się wydawało.

– Rzeczywiście źle wyglądasz. – Stasia świdrowała koleżankę ciekawskim wzrokiem. W jej głosie było coś, jakby lekka sugestia, że może Maria czuje się niedobrze z innego powodu niż tylko zimowe przeziębienie.

Jadzia Siwczyk pośpiesznie wygłosiła tyradę o leczniczych właściwościach czosnku z miodem, Renia Banaśkiewicz zaczęła

narzekać na pogodę, krążące w powietrzu wirusy i lekarzy, aż wreszcie płynnie przeszła do tematu swoich wrzodów. Karol Górny, nauczyciel WF-u, otworzył okno i zapalił papierosa, lecz dym, zamiast ulatywać na zewnątrz, wpadał do środka z podmuchami zimnego wiatru. Gdy wszyscy zaczęli protestować, zamknął okno, burknął coś i schował nos w rozpostartej płachcie „Przeгляdu Sportowego”.

„Jestem obca – pomyślała Maria. – Pracuję w tej szkole od września, ale nadal nie uważają mnie za jedną ze swoich. Może to specyfika wszystkich małych miasteczek, a może zwyczajnie jestem inna, a oni to wyczuwają? Naznaczona”. Gdy była młodsza, tak właśnie o sobie myślała. Kiedy jeszcze w podstawówce, a potem w liceum widziała ukradkowe spojrzenia kierowane w jej stronę i wychwytywała szept za plecami. Myślała, że przez te wszystkie lata ludzie zapomnieli, ale oczywiście tak się nie stało. Nauczyciele, a prawdopodobnie także starsi uczniowie – wszyscy musieli wiedzieć. Trzydzieści lat. Ile czasu trzeba, żeby pogrzebać przeszłość?

Ta myśl rozstroiła ją do tego stopnia, że kiedy dziesięć minut później stanęła przed klasą 8a, zorientowała się, że nie będzie w stanie prowadzić lekcji. Po prostu nie zdoła tego zrobić. Rzeczywistość wokół niej rozpływała się, jakby Maria miała gorączkę, twarze dzieci falowały w powietrzu. Działo się z nią coś złego. Może powinna pójść do lekarza? Ale co właściwie miałaby mu powiedzieć? Że w nocy nie może zasnąć, a w dzień czuje się śmiertelnie zmęczona? Że ma trudności ze sformułowaniem odrobinę bardziej skomplikowanych wniosków, jakby coś blokowało jej myśli, a wspomnienia wyciekają z niej niczym woda z dziurawego garnka, tak że pół minuty po tym, jak zamknie drzwi, nie jest pewna, czy rzeczywiście to zrobiła? Że czasem

ma uczucie, jakby zaraz miała się rozpaść, jakby była nierzeczywista i roztopiała się w zimowej szarości? Nonsens, pora wziąć się w garść. „Na wiosnę będzie lepiej”, pomyślała, tyle że teraz wiosna wydawała się niesamowicie odległa, a Maria pełzła w jej stronę długim ciemnym tunelem i nie miała nawet pewności, czy na końcu czeka na nią światło.

Zmusiła się, żeby sprawdzić obecność, po czym z hukiem zatrzaskała dziennik. Trzydzieści dwie pary oczu spojrzały na nią w napięciu.

– Dzisiaj nie będzie lekcji – oznajmiła. – Zrobimy kartkówkę i zobaczymy, co zapamiętaliście z *Szyfów* prac.

Z trzydziestu dwóch gardeł wyrwał się jęk protestu. Żanetka Brońkówna podniosła rękę, a kiedy Maria skinęła głową, oznajmiła:

– Na początku roku obiecała pani, że nie będzie niezapowiedzianych sprawdzianów.

– To nie sprawdzian, tylko kartkówka. – Maria zdawała sobie sprawę, że jej logika pozostawia sporo do życzenia. – W dodatku łatwa, nie musicie się martwić. Macie pół godziny.

Szybko wymyśliła trzy pytania, rzeczywiście dość proste, i wkrótce w sali słychać było już tylko skrobanie piór na kartkach. Maria miała chwilę dla siebie i wykorzystała ją, żeby przyrzeć się klasie. Nie było w niej nic specjalnego, w swoim zawodowym życiu widziała wiele podobnych grup. Z przodu siedzieli prymusi, z tyłu lenie i rozrabiacy. Adaś Łaszczyk oczywiście ściągał, Karolinka Cicha konsultowała się szeptem ze swoją najlepszą przyjaciółką. Młody Liśkiewicz, kawalarz, który przechodził z klasy do klasy dzięki wrodzonemu wdziękowi, prawdopodobnie właśnie wypisywał jakieś głupstwa, a Sylwia Gonsiorówna kręciła się na krześle, jakby zależało jej głównie na tym, by jak najlepiej za-

prezentować wystającą spod fartuszka spódniczkę z niemieckiej paczki. Andrzej Jarczak wyglądał na znudzonego – nic dziwnego, jego rodzice byli prywaciarzami i od dawna kładli synowi do głowy, że nic prócz rachunków mu się w życiu nie przyda. Jasnówłosa Aśka Grabkowska wyjęła z tornistra wielką butlę z atramentem i moczyła w nim staroświeckie pióro ze stalówką. „Skąd ona je wytrzasnęła?”, przemknęło Marii przez głowę. Wszyscy inni uczniowie mieli zwyczajne pióra albo długopisy, ale Asia zawsze była ekscentryczna. W zeszłym roku podobno robiła notatki gotykiem, a potem opalała kartki z zeszytu, tak żeby wyglądały jak stare rękopisy.

Jedyną osobą, która nawet nie próbowała pisać, był Wojtek Kapuściak, zwany przez resztę klasy Śmierdzielem, Mongołem albo Zezowatym. Chłopak siedział tak blisko ściany, że zdawał się w nią niemal wtapiać. Chudy, przygarbiony, z otwartymi ustami i rybimi oczami, które nigdy nie patrzyły prosto na rozmówcę. Nawet gdyby Maria nie wiedziała, że ma przed sobą kozła ofiarnego, bez trudu by to odgadła. Na lekcji biologii oznajmił, że serce człowieka znajduje się w głowie, a na geografii, poproszony o wskazanie Afryki, jeździł wzrokiem po mapie z tępym wyrazem rezygnacji kogoś, kto wie, że i tak mu się nie uda.

Maria westchnęła.

– Wojtku, może jednak postarasz się odpowiedzieć na któreś z pytań? – powiedziała zachęcająco. – Na pewno coś pamiętasz.

Wymamrotał niewyraźnie parę słów.

– Musisz mówić głośniej.

W klasie rozległy się pojedyncze śmiechy. Karolinka nachyliła się do przyjaciółki i szepnęła jej coś do ucha. Maria zgromiła uczniów wzrokiem, po czym wróciła spojrzeniem do Wojtka.

– Ja... postaram się.

Osiągnęła tyle, że przynajmniej wzięła do ręki długopis i zaczęła mazać po kartce. „Jeśli zdoła napisać jedno zrozumiałe zdanie, dam mu na półroczcie tróję”, postanowiła Maria, świadoma, że tak naprawdę próbuje zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie potrafiła ochronić tego dziecka przed resztą klasy, chociaż należało to do jej obowiązków.

Gdy minął wyznaczony czas, pozbierała kartki i wrzuciła je do torby. Miała teraz okienko, a potem jeszcze jedną godzinę z 6b. I nareszcie koniec. Tę porę dnia lubiła najbardziej, bo przynosiła przynajmniej cień nadziei na jakąś zmianę, na to, że Maria wróci do domu, wypocznie przy dobrej książce albo oglądając film w telewizji. Może nawet uda jej się zrobić jedną z odkładanych na później rzeczy, trochę ogarnąć mieszkanie czy odwiedzić ciotkę w szpitalu.

Skończyło się jak zawsze na planach. Maria przyrządziła na obiad pieczoną mortadelę z ziemniakami, zjadła bez apetytu, a resztę dała bezdomnemu kotu. Potem wykorzystała chwilowy przypływ energii, żeby uporządkować listę rzeczy do zrobienia. Lista ta, starannie spisana w czarnym notatniku, zawierała takie pozycje jak: „oddać książkę do biblioteki”, „zanieść rajstopy do repasacji”, „wezwać kogoś do przeczyszczenia pieca w dużym pokoju”, „zebrać pieniądze na kino dla 6b” czy „przypomnieć dyżurnym, żeby podlali kwiatki”. Codziennie przepisywała ją na nowo, kreśląc, dodając i przesuwając pozycje z rubryki „później” na „dzisiaj” lub odwrotnie, jeśli doszła do wniosku, że jakaś pozornie pilna sprawa może jednak poczekać. Dzięki temu miała przynajmniej odrobinę kontroli nad własnym życiem, notatki pomagały jej trzymać się normalności, choć było to trzymanie się desperackie, które lada moment mogło skończyć się bolesnym upadkiem. Trzy razy sprawdziła, czy na pewno wszystko zapisa-

ła, trzy razy upewniała się, że włożyła notes do torby, a mimo to wciąż nie opuszczało jej uczucie, że zapomniała o czymś ważnym. Próbowwała zająć ręce, ale tylko miotała się od jednej czynności do drugiej, na żadnej nie mogąc skupić uwagi.

Wreszcie dała sobie spokój i po ósmej usiadła przed telewizorem ze szklanką gorącej herbaty. Na pierwszym programie leciał jakiś film – przegapiła początek z tytułem, ale to nie miało znaczenia, ważne, że w pokoju nie panowała cisza. Zwinęła się w fotelu. Na zewnątrz dawno już zapadła ciemność, miękkie, szczipione ze sobą płatki śniegu uderzały o szyby jak ślepe ćmy. Rozgrzany do czerwoności piec promieniował ciepłem, mimo to Maria owinęła się kocem. W takie wieczory jak ten dom ożywał za jej plecami: słychać było poskrzypywanie drewna, chrobot myszy i szuranie gałęzi ocierających się o dach. Podkreśliła dźwięk. Kobieta na ekranie czarno-białego telewizora płakała i prosiła mężczyznę z pistoletem, żeby nie robił jej krzywdy. Maria nie wiedziała, o co chodzi, ale miała nadzieję, że bohaterka wyjdzie z opresji cało.

Sięgnęła po czerwony długopis i kartkówki. Sprawdziała je mechanicznie, od czasu do czasu popijając herbatę i rzucając okiem na ekran. Znała swoich uczniów i nie sądziła, by któryś mógł ją czymkolwiek zaskoczyć. Odpowiedzi Żanetki były obszerne, ale nudne i ostrożne, Asia bez większego związku z pytaniami popisывała się znajomością klasyki literatury, Karolina łała wodę, usiłując ukryć, że książki nie czytała, a Łukasz Liśkiewicz nie miał oporów, żeby napisać: „Borewicz, czy jak on się tam nazywał, pani wie, o kogo chodzi”. Pozostałe odpowiedzi były wymęczone, lecz w większości mniej więcej poprawne. Dopiero na samym dole stosu znalazła kartkę oddaną przez Wojtka, podniosła ją i odwróciła.

Z wrażenia aż zaparło jej dech. Myliła się – uczniowie jednak mogli ją zaskoczyć. Co więcej, zrobił to właśnie ten, po którym najmniej się tego spodziewała.

Na kartce prócz podpisu nie było ani jednego słowa, tylko rysunek przedstawiający dziewczynkę i trzech chłopców w lesie. Jedno z dzieci przypominało młodszą wersję samego Wojtka, pozostałych nie potrafiła rozpoznać. Cała czwórka otaczała kręgiem wysoką przygarbioną postać z twarzą pokrytą potwornymi naroślami.

„Wojtek spotkał w lesie Kartoflanego Człowieka”, pomyślała Maria. Słowa wychynęły z mroków pamięci, jakby tylko czekały na tę chwilę. Poczuła, że kręci jej się w głowie, przed oczami pociemniało. Wstała i jak ślepa ruszyła do łazienki, gdzie ochłapała twarz zimną wodą. Z lustra spojrzała na nią obca osoba: z wypiekami na białych policzkach i wytrzeszczonymi oczami. Z krótkich włosów spływały strużki wody, mocząc i tak już wilgotny dekolt bluzki.

Zacisnęła palce na krawędzi umywalki i powoli, spokojnie policzyła do dziesięciu. Oddech jej się wyrównał, policzki straciły woskową bladość. Wylała się i wróciła do pokoju. Co ją, u licha, napadło? Zachowywała się jak wariatka, a przecież to był tylko rysunek. Kartoflany Człowiek? Skąd w ogóle wzięła taki pomysł? Jeszcze przed chwilą mogłaby przysiąc, że znajdzie odpowiedź, jeśli tylko sięgnie wystarczająco głęboko we własne wspomnienia. Teraz wrażenie rozwiewało się z każdą sekundą jak sen, o którym zapominamy po przebudzeniu, aż Maria nie była pewna, czy kiedykolwiek istniało. Kartoflany Człowiek... Słowa brzmiały pusto, może tylko trochę śmiesznie, jak z dziecięcej zabawy. I dlaczego ten szkic tak nią wstrząsnął? Wiedziała przecież, że Wojtek ładnie rysuje, wspominał o tym Rysiek Stenzel,

historyk, który z braku kogoś bardziej kompetentnego uczył także wychowania plastycznego w starszych klasach. Lecz wiedzieć, a zobaczyć – to czasem dwie różne rzeczy.

Maria sięgnęła po rysunek i przyjrzała mu się ponownie, tym razem uważniej. Był naiwny, perspektywa pozostawiała sporo do życzenia, a postacie dzieci miały zaburzone proporcje, ale zdecydowanie coś w nim było: talent, własny styl, niebanalny sposób postrzegania rzeczywistości jak u Teofila Ociepki. „Biedny chłopiec”, stwierdziła w duchu. Gdyby był nieco bystrzejszy, można by pomyśleć o stypendium i przy odrobinie szczęścia rozwinąłby skrzydła. A tak, pójdzie do zawodówki i się zmarnuje. Natura była przewrotna, dając zdolności plastyczne komuś, kto ledwie potrafił się podpisać.

Odłożyła kartkę na bok jako jedyną bez oceny. Film w telewizji się skończył, uznała więc, że pora na kąpiel. Może gorąca woda choć trochę ją rozgrzeje. Dłonie i stopy miała zlodowaciałe tak, że palce przypominały wystrugane z drewna kołki.

„Nie zasnę”, myślała pół godziny później, przewracając się w łóżku i nasłuchując, jak wielki zegar w pokoju ciotki wybija jedenastą. Dusila ją nagrzana od pieca ciemność, ciche pacnięcia śniegu, który wciąż uderzał w okna, rozstrajały nerwy. Z ogrodu dobiegał szum szarpanych wiatrem gałęzi, styczniowe podmuchy wygrywały w kominie melodię brzmiącą jak zawodzenie porzuconego psa. Temperatura musiała spaść sporo poniżej zera. Maria czuła napierającą na ściany ciemność tak lodowatą i pierwotną, jakby pochodziła z serca najstarszego lasu. „Idzie ochłodzenie”, przypomniała sobie usłyszaną w radio prognozę pogody; koniec z pluchą i popołudniami, kiedy można było wyjść z domu bez płaszcza. Zima wreszcie pokazała prawdziwą twarz.

W końcu Maria zapadła w płytki sen i przyśniło jej się, że siedzi skulona w wannie, drobna i naga, a obok stoi ciotka z kra- wieckimi nożycami w rękach.

– Rozumiesz, że muszę to zrobić, prawda? – mówi.

Maria, Marysia, potrząsa głową, co może oznaczać zarówno „tak”, jak i „nie”. Patrzy w dół na brudne od ziemi stopy, na spły- wającą do odpływu wodę.

Wodę, która czerwona jest od krwi.

2

– Wojtku, zostań, proszę.

Trzask zamykanych piórników i książek, stukot tornistrów stawianych na ławkach. Lekki młodzieńczy śmiech, gdy uczniowie klasy 8a zdejmowali z wieszaka kurtki, a potem przepychali się w drzwiach. Wreszcie w opustoszałej sali została tylko Maria i jasnowłosego chłopak, który szurając stopami, podszedł do biurka.

– Co ma znaczyć ten obrazek? – zapytała, starając się, żeby jej głos nie zabrzmiał zbyt surowo. Chyba jej nie wyszło, bo Wojtek spuścił głowę jeszcze niżej.

– Bardzo ładnie rysujesz – spróbowała pochwały. – Napraw- dę masz talent i powinieneś go częściej wykorzystywać. Ale nie na lekcjach polskiego. Od rysowania jest plastyka, na polskim uczymy się gramatyki i omawiamy lektury. Czy ten obrazek ma cokolwiek wspólnego z *Szyzyfowymi pracami*? Powiedz mi.

Potrząsnął głową. Maria nie widziała przysłoniętej włosami twarzy, ale coś w jego postawie mówiło, że chłopak jest bliski łez.

– W takim razie dlaczego go narysowałeś?

– To... moi przyjaciele.

– Twoi przyjaciele?

– Tak. – Wreszcie podniósł na nią wzrok. Ku zdziwieniu Marii oczy miał suche. Chudy palec z żalobą za paznokciem wylądował na leżącej na biurku kartce. – To są Paweł, Jasna i... – Ostatnie słowo brzmiało trochę jak „Szmata”. – Tu jestem ja.

– W porządku – zgodziła się Maria, która ani przez chwilę nie wierzyła, że Wojtek miał takich czy jakichkolwiek innych przyjaciół. – Narysowałeś swoich kolegów. Nadal jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z lekturą, którą przerabialiśmy.

– Myślałem... – Najwyraźniej zabrakło mu słów, bo zmarszczył brwi i przez chwilę bezgłośnie poruszał ustami.

– Myślałeś...? – zachęciła go.

– Że pani mi pomoże... Pani przecież wie...

– O czym wiem?

Patrzył z desperacją, jakby samym wzrokiem mógł sprawić, że kobieta domyśli się, o co mu chodzi. Lecz Maria nie była wrózką, tylko zmęczoną nauczycielką, która właśnie traciła cenne minuty przerwy. A zamierzała jeszcze skorzystać z ubikacji, napić się kawy, może trochę poczytać, zanim zacznie się kolejna lekcja.

– Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, to powiedz. Pomogę, ale najpierw muszę wiedzieć, co się dzieje. Czy ktoś cię krzywdzi? Wojtku?

Potrząsnął głową i odsunął się, a Maria zrozumiała, że nic z niego nie wyciągnie.

– Jeśli będziesz chciał ze mną porozmawiać, możesz przyjść do pokoju nauczycielskiego – zaproponowała, wiedząc doskonale, że chłopak nigdy się na to nie odważy. – Teraz musimy iść, za chwilę zacznie się kolejna lekcja.

Pogoniła Wojtkę, który niechętnie włókł się w stronę drzwi. Myślami była już daleko, przy kawie i czekoladowych eklerkach,

które obiecała przynieść obchodząca dziś imieniny dyrektorka. Czasem takie drobne przyjemności potrafiły poprawić jej humor na tyle, że dzień stawał się jeśli nie przyjemny, to przynajmniej znośny.

3

Wojtek zarzucił tornister na ramię i wymaszerował ze szkoły. Nie skończył jeszcze lekcji, ale nie zamierzał się tym przejmować. Nauka nigdy nie miała dla niego znaczenia. Wiedział, że się do niej nie nadaje, i czasem tylko dziwiło go, dlaczego inni nie dostrzegają czegoś tak oczywistego. Widocznie była to jedna z tych rzeczy, które po prostu trzeba znieść, jak wizyta u dentystry albo ojcowskie lanie od czasu do czasu. Kłopot w tym, że to ostatnie zdarzało się raz, może dwa razy w tygodniu, a szkoła była codziennie, dlatego Wojtek nienawidził jej bardziej. „Ósma klasa”, pomyślał. Jeszcze tylko parę miesięcy i będzie wolny. Nie bał się, że zostawią go na drugi rok. Nie był takim idiotą, jak wszyscy myśleli, i świetnie wiedział, że nauczycielom zależy na tym, żeby jak najszybciej się go pozbyć. Myślał powoli i często się gubił, kiedy ktoś czegoś od niego chciał, ale jeśli tylko miał czas się zastanowić, wcale nie szło mu najgorzej. Choć jakoś nie potrafił ubrać swoich przemyśleń w słowa; w głowie niby miał wszystko poukładane, ale kiedy przychodziło do mówienia, z jego ust wychodziły same koślawe zdania. Albo gorzej, całkiem się zacinał i nie potrafił niczego wydusić. Zdecydowanie wolał myśleć obrazami. Życie byłoby o wiele prostsze, gdyby Wojtkowi pozwolono rysować, zamiast kazać mu mówić albo, o zgrozo, pisać.

Szedł bezmyślnie przed siebie, aż dotarł na kwadratowy rynek. Dawniej otaczały go śliczne osiemnastowieczne kamieniczki – Wojtek widział je na starych widokówkach – ale wojnę przetrwała tylko jedna, w której teraz znajdowała się siedziba PKO. Na miejscu pozostałych wybudowano dwa brudnożółte pawilony handlowe, jeden z odzieżą, drugi spożywczy. Pośrodku sterczało to, co zostało z ratusza trafionego w 1945 roku pociskiem z katuszy – wysoka na dwa i pół piętra ruina strasząca pozabijanymi oknami i drzwiami. Od czasu do czasu władze Mgielnicy przebąkiwały o odbudowie, ale tak się złożyło, że przez czterdzieści lat niczego w tej sprawie nie zrobiono. Pod ratuszem kuliła się kawiarnia Kolorowa, przysadzista buda, którą otwierano tylko latem. W ciepłe dni pod pasiastymi parasolami stały tu stoliki, ludzie pili piwo i żartowali, podczas gdy ich dzieci goniły się wokół pomnika Wdzięczności Armii Radzieckiej. Teraz parasole były złożone, a zwalone na stos i zabezpieczone solidnym łańcuchem stoliki pokrywała warstwa zmarzniętego śniegu.

Usiadł na ławce i wyciągnął z kieszeni kurtki paczkę klubowych. Ojciec już dwa razy przyłapał go na paleniu i złął pasem, ale osiągnął tylko tyle, że chłopak stał się ostrożniejszy. Wojtek zaciągnął się, patrząc na spacerujące po rynku wrony, które zostawiały w białym puchu szlak trójkątnych łapek. Może narysuje je, kiedy wróci do domu.

Najpierw jednak musiał pomyśleć. Zamknął oczy i przywołał w pamięci trzy twarze. Nigdy nie miał z tym trudności, wspomnienie przyjaciół towarzyszyło mu od lat w każdej chwili życia. Nawet w tych najgorszych. Zwłaszcza w tych najgorszych. Kiedy chłopaki z klasy zwabili go za szkołę, a potem natarli śniegiem z resztkami wmarzniętego psiego gówna albo na WF-ie, gdy Karolina namówiła go, żeby zdjął majtki, a on posłuchał, przeko-

nany, że robi coś naprawdę fajnego, i dopiero po długiej upokarzającej chwili zrozumiał, że wszyscy śmieją się nie z nim, ale z niego. Kiedy zamykali go w ubikacji, a potem uciekali ze śmiechem, gdy wyrzucali mu w błoto wszystkie rzeczy z tornistra, kiedy dziewczyny mówiły, żeby nie podchodził bliżej, bo śmierdzi, a chłopcy popychali go, kopali i na niego pluli. We wszystkich tych chwilach Wojtek pamiętał, że miał kiedyś prawdziwych przyjaciół. I znowu będzie miał, jeśli tylko ich odnajdzie. Liczył, że pomoże mu pani Maria, dlatego narysował ten obrazek. Dawniej miał zwyczaj szkicować w czasie lekcji, ale odczytał się tego, gdy jeden z nauczycieli zabrał mu zeszyt, po czym pokazał całą klasie i wszyscy oczywiście znowu się z niego śmiali. Teraz jednak nie potrafił się powstrzymać. „Na pewno coś pamiętasz”, powiedziała pani Maria i właśnie o to chodziło – o pamięć. Wojtek niedawno przypomniał sobie coś bardzo ważnego. Pani Maria powinna zrozumieć. Dlaczego nie rozumiała? Nie zastanawiał się nad tym zbyt długo – jego życie pełne było mniejszych i większych rozczarowań.

Trudno, poradzi sobie sam. Pawła widział ostatnio parę razy przy starym browarze, jak szedł z mamą i małym kundlem na smyczy, i choć dawny kolega był sporo starszy, Wojtek bez trudu go poznał. Zawołał za nim kiedyś, jednak Paweł chyba nie usłyszał, bo nawet się nie odwrócił, a Wojtek nie miał odwagi podejść, gdy chłopak był w towarzystwie matki. Ale dzisiaj nie będzie się bał, bo przecież nie przychodził z pustymi rękami, tylko z ostrzeżeniem, że Kartoflany Człowiek znowu się pojawił, trzeba więc uważać. To jego prezent na przywitanie po tych wszystkich latach. Razem znajdą pozostałych, a wtedy znów będą drużyną. Wojtek uratuje ich, żeby oni mogli uratować jego.

Rzucił niedopałek w śnieg i przydusił butem. Potem wstał i ruszył w kierunku browaru. Nie przyszło mu do głowy nic lepszego, jak tylko czekać, aż dawny kolega się pojawi. Jasne, gdyby był bystrzejszy, pewnie wymyśliłby coś sensowniejszego, ale nie potrafił. Mógł za to zdobyć się na cierpliwość i miał czas. To nic, że matka będzie narzekać, kiedy wróci po zmroku, a ojciec znowu sięgnie po pas. Odzyskanie przyjaciół było tego warte.

4

Gdy Wojtek nie zjawił się na obiad, Ilona Kapuściak jeszcze nie zaczęła się martwić. Chłopak często znikał – włączył się wtedy po mieście albo przesiadywał w parku i zapominał o bożym świecie. Zaniósł więc supę siedzącemu przed telewizorem mężowi, który zapowiedział, że kiedy smarkacz wróci, przez tydzień nie będzie mógł na tyłku usiąść, po czym zajęła się uspokajaniem dziesięcioletnich bliźniaków. Tłumaczenie Jackowi, że nie powinien szarpać brata ani wyzywać go od debili, a Kubie, żeby przestał się mazać i był mężczyzną, zajęło jej dobry kwadrans, potem wpadła córka z małą – dziewczynka właśnie ząbkowała i Agata czasem podrzucała ją babci.

Dopiero gdy zegar w kuchni wybił piątą, Ilona policzyła uderzenia i poczuła pierwsze poważne ukłucie niepokoju. Wepchnęła marudną wnuczkę w ramiona córki, zarzuciła na fartuch płaszcz i wyszła w kapciach, bez szalika i czapki.

Zapadał zimowy zmierzch, niebo lśniło intensywnym błękitem akwarelowej farbki, na zachodzie czerwona łuna podświetlała wieżę kościoła Świętego Michała. Warstwa białego puchu na chodniku i gałęziach kasztanów sprawiała, że świat wyglądał jak

obsypany cukrem pudrem, świeży i czysty jak z obrazka. Z jakiegoś powodu przyszło jej do głowy, że Wojtek chciałby ten widok namalować, i z jakiegoś – że być może już nie będzie miał okazji. Zaraz wyrzuciła tę straszną, najstraszniejszą myśl z głowy, zatarła nawet wspomnienie o niej, jakby szorowała brudną podłogę. Nie było jej, nigdy nie istniała. Z ust kobiety unosiły się obłoczki pary, gdy nie zważając na to, że mokną jej rajstopy, szła wzdłuż ulicy i wypatrywała syna.

– Męża szukamy, kierowniczo? – zapytał jeden z pijaczków stojących pod sklepem spożywczym.

– Syna, widział go pan?

– Starszego? Niii, pewnie cygarety w krzakach kurzy. Właśnie, kierowniczo, papieroskiem by pani nie poczęstowała?

– Nie mam przy sobie.

Stała przez chwilę na skrzyżowaniu, patrząc w ulicę Komuny Paryskiej, którą Wojtek powinien przyjść ze szkoły, jakby naprawdę miała nadzieję go tu zobaczyć, maszerującego beztrudno z tornistrem na plecach. Jednak lekcje skończyły się dawno temu i chłopak prawdopodobnie był teraz zupełnie gdzie indziej – może rzeczywiście palił z kolegami papierosy albo znowu sterował pod peweksem, gapiąc się na dzinsy i klocki Lego.

Jak wróci, ode mnie też dostanie, pomyślała Ilona Kapuściak, próbując wzbudzić w sobie gniew, jednak zamiast niego czuła tylko coraz większy niepokój.

Uszy nylonowej siatki coraz bardziej wrzynały się przez cienką rękawiczkę w dłoń. Krystyna Sałajczyk przystanęła i przełożyła